



PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł.

Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

OD REDAKCJI.

Wam, które opuściłyście już nasze szare mury szkolne, Wam, które odeszłyście już od nas hen, w świat, by wokół siebie siać ziarna oświaty i wiedzy, Wam, które zahartowane być musicie na trud i przeciwności, co bojować musicie cicho, bez rozgłosu, Wam ślemy dzisiaj — „Szczęść Boże.”

Niechaj Wszechmocny wspiera Was, pomaga i wiedzie wśród cierni życia, wśród trudów jego i niech pozwoli Wam zebrać stokrotny plon Waszego siewu. I bądźcie szczęśliwe szczęściem tych malutkich, rozbudzonych do czynu, duszyczek, bądźcie szczęśliwe myślą, że wychowujecie Polskę silne zastępy Jej obrońców.

**ODEZWA DO BYŁYCH WYCHOWANEK
SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIEGO ŻEŃSKIEGO
W MARJÓWCE OPOCZYŃSKIEJ.**

Myśl o stworzeniu jakiejś organizacji z wychowanek, kończących nasze Seminarjum, powstała dość wcześnie, lecz zrealizowaną została dopiero przez maturzystki z 1928 r. Na ostatnim zebraniu, które odbyło się już po maturze piśmiennej, został obmyślony statut naszego Koła. Szczegółowe opracowanie statutu, zmianę niektórych jego punktów pozostawiono do rozstrzygnięcia pierwszemu walnemu zjazdowi byłych wychowanek.

Organizacja nasza, według życzenia założycielek, otrzymała nazwę „Koło byłych wychowanek Żeńskiego Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce Opoczyńskiej.” Celem tej organizacji jest utrzymanie kontaktu ze szkołą przez coroczne zjazdy i utrzymanie stosunków koleżeńskich.

Członkami Koła mogą być wszystkie były wychowanki Semin. Naucz. w Marjówce, kończące szkołę i opłacające składkę 50 gr. miesięcznie, czyli 6 zł. rocznie.

Pierwszy walny zjazd zaprojektowany został na czas feryj wielkanocnych 1929 r., zaś o następnych zjazdach zadecyduje walne zebranie. To ostatnie ma na celu pogłębienie naszych wiadomości przez różne ciekawe odczyty i podniesienie nas na duchu przez odprawienie rekolekcji.

Zarząd Koła zwraca się z prośbą do swych członkiń, żeby w miarę możliwości same zgłaszały się z własnymi referatami.

Bliższe informacje co do statutu naszego Koła zostaną wyjaśnione na ogólnym zebraniu, o dokładnym zaś terminie zjazdu zawiadomi Zarząd. Siedziba Zarządu mieści się w Seminarjum w Marjówce.

Na razie do Koła zapisało się 21 koleżanek — maturzystek z 1928 r. i 2 pierwsze maturzystki.

Kochane Koleżanki, przybywajcie chętnie na walny zjazd, który odnowi, zacieśni naszą nić miłości siostrzanej, zawiązaną tutaj w ukochanej szkole. Może w życiu którejś z Was przyćmione zostały te piękne i szlachetne ideały, wpajane w szkole, może utraciłyście zapał, jaki Was porywał w początkach nowego życia?

Przybywajcie do nas, a postaramy się, żeby znowu zabłysło dla Was złote słońko nadziei w tym ukochanym gniazdku, gdzie razem kształciliśmy nasze charaktery, wzbogacałyśmy umysł i urabiałyśmy serce, aby umiało kochać co piękne, wzniosłe i szlachetne.

Wspomagajmy się i działajmy wspólnie. Podnośmy budujący się gmach naszej Ojczyzny, ażeby stanął silny i potężny, „niezawstydzony niczem — nieśmiertelny.”

Zarząd Koła.



X
PIERWSZY KROK W ŻYCIE. —

Waciu, Bolu, no kiedy to uczynimy? — Ja chciałabym jak najszybciej, zawsze jestem do waszej dyspozycji. Wspaniale, ja wciąż o tem myślę — mówi Wacia, — a ty, Bolu?

— Ja również gotowa jestem każdej chwili.

Ale pomyślcie dobrze, bo to trudna sprawa, której, jeśli raz się podejmiemy, zlekceważyć nie wolno, a przed nami prawie cały rok pracy — pracy ciężkiej. Tak, cały rok szkolny, bo przecież to dopiero niedawno skończyły się wakacje, powiada Bola.

Ach, na pewno tak będzie, jak marzymy, zobaczysz, Steniu, powiada rozentuzjasmowana Wacka.

A więc przyrzekamy! Przyrzekamy — powtarzają wszystkie trzy razem. „Przyrzekamy uroczyście: że po złożeniu matury, pójdziemy pieszo do Częstochowy, aby złożyć podziękowanie Marji.”

— I zrobimy to, choćby nam przeszkody stałe rosły i piętrzyły się po drodze, mówi Wacia.

Tak, tak, niema dla nas przeszkód — krzyczą dwie pozostałe.

— Ja to już taki ślub zrobiłam w kościele — powiada Bola, i księdzu na spowiedzi powiedziałam. —

— Coś ty zrobiła najlepszego, woła niby zdziwiona i zaniepokojona Stenia, ale z miny jej widać, że zrobiła też to samo. Wacia, która chwilę stała, jakby skamieniała, teraz, znając tajemnice Boli i Steni, rzuca się im na szyję i mówi, prawie krzycząc, ja też tak samo zrobiłam, jak wy, tylko bałam się przyznać.

— A zatem obietnicy danej Matce Bożej złamać nam nie wolno! —

Od owej pamiętnej rozmowy przeszło wiele czasu, przeszły dni ciężkie, dni klasówek matematycznych i wypracowań francuskich, przyszły chwile zwątpienia, czy wogóle „człowieka dopuszczą do matury,” ale były to tylko chwile, bo, ile razy Bola, Wacia i Stenia znalazły się razem, zawsze powtarzały z wielką radością: „Po maturze”....

Aż przyszła matura i zbliżył się termin wymarszu. Ale tutaj dopiero stanęłyśmy w obliczu rzeczywistości. Pani Dyrektorka każe jechać na wycieczkę razem ze wszystkimi. Rodzice nazywają nasze przyrzeczenia niedorzecznościami, — wszystko jakby się sprzysięgło.

My „nie tracimy ducha,” pójdziemy, stanowczo pójdziemy, niech się dzieje co chce.

Co jest zapisane w niebie, znajdzie swój oddźwięk i na ziemi.

Kochany nasz ksiądz Kanonik uśmiecha się pobłażliwie i, machnąwszy ręką, „niech idą” powiada. I zaraz szala przeważyla się na naszą stronę. Pani Dyrektorka, choć trochę jeszcze miała groźną minę i patrzyła na nas nie tak, jak się patrzy na maturzystki, jednak wyczułyśmy, że zezwala, choć nic nie mówi. Rodzice także, po całej serji oburzeń i perswazyj z bólem serca, dali pozwolenie.

I oto upragniony dzień, dzień złotymi zgłoskami zapisany w duszach „Hultajskiej trójki” — 18 czerwca 1928 r.

Ostatni dzień w murach szkolnych, teraz dopiero się czuje, jak one wrosły w naszą jaźń, jak wkradły się do najtajniejszych zakamarków duszy.

Z jednej strony radość z wymarszu, z drugiej smutek z opuszczenia szkoły.

Ale, to już takie widocznie jest życie, że wszystko ma dwie strony medalu.

Jeszcze ostatni raz zaglądamy do klasy, do sypialni i jadalni. Wszyscy się z nami żegnają, wszyscy polecają modlitwie na Jasnej górze. Panna Anuleczka, jak zwykle nadzwyczaj troskliwa, aż ma łzy w oczach, gdy nas żegna i daje przestrogi, to samo można powiedzieć o wszystkich prawie.

Plecaki mamy pełne, bo p. Katarzyna i p. Paulcia, mając zlecenie od p. Dyrektorki zaopatrzenia nas w zapasy na drogę, hojną ręką udzieliły nam „darów bożych.”

Wyekwipowane tak, jakbyśmy nie do świętego miejsca w Polsce, ale do Ziemi Świętej wyruszać miały, opuszczamy Seminarjum.

Za chwilę zniknęła nam z oczu Marjówka. Czerwone dachy i mury, w których spędziliśmy najpiękniejszy okres życia, w których zbudziła się nam dusza, w których zostawiliśmy kwiaty najpiękniejszych wspomnień młodości — przysłoniły kontury zalanych słońcem brzoźek.

Ostatniemi spojrzeniem żegnaliśmy drogie miejsce, w którym, jak w drugim domu, zostawialiśmy ukochane osoby — p. Dyrektorkę, ks. Kanonika, p. Bagieńską, inne panie i miłe koleżanki. Szybkim marszem ruszyła „Hultajska trójka” przed siebie. W Pomykowie minęliśmy ostatnią znajomą duszę — nadwornego szewca marjowskiego — Suliwodę.

Potem tyloletnią stolicę — Przysuchę, parę wiosek nieznanych i o szarówce zmęczone pątniczki zatrzymały się w Ruskim Brodzie. Gościnnie przyjęte przez kierowniczkę szkoły, po kolacji zasnęły posilnym snem —

Poranek. . .

— Oj! oj! mnie nogi boją! — piszczy z łóżka Wacka.

— A śpiochul chcesz, żebym cię jeszcze raz za nogi ściągnęła? — pyta Stenia.

— Albo wodą poświęciła — dorzuca z pod kołdry Bola. —

— Oj, nie! nie! już wstaję! Ale teraz i wy na łóżkach już się nie utrzymacie. Pościagam bez miłosierdzia. W przepysznych humorach, serdecznie żegnane, ruszyliśmy w stronę Końskich.

„ . . . Pogoda była prześliczna, czas ranny,

Niebo ponad ziemią rozciągnięte,

Jako morze wiszące, ciche, wklęsło wgięte.”

W radosnych nastrojach maszerowałyśmy, śpiewając głośno. Po drodze układaliśmy plan dalszej marszruty i starały się przygotować duchowo do głównego celu podróży. Taka radość i zadowolenie biło od wędrują-

cej trójki, że zwracały ogólną uwagę. Trochę na bosaka, trochę w pantofelkach brnęłyśmy po piaszczystej drodze. — O! jak mi się jeść chce! — pisała Boli. I w pierwszym spotkanym dworku „gospodyni” Wacka, zdobywszy mleka, odprowadzana przez gromadę dzieci wiejskich i ujadających psów, urządziła na małej polance wspaniałą ucztę. Czego tam nie było! I pyszna wędlina, tak pieczolowicie opakowana przez p. Anulkę i p. Katarzynę, i ser, i czekoladki i „chalka” i ciasteczka i t. d.

Wkrótce zjawiał się i przedstawił grzecznie właściciel majątku, bardzo miły staruszek, który z całą sympatją patrzył na trzy posiłające się pątniczki. Wieczorem, witane gościnnie przez państwa Pietrusiewiczów, zasypiałyśmy po raz drugi poza domem.

„Luli, senny”... brzmi cicho kołysanka Boli. — A nad trojgiem dzieci Marji czuwała Ona i... może z miłością spogląda na wysiłki swych trzech dziewczynek dążących do Niej z sercem przepelnionem wdzięcznością. Sławetny gród Końskie pozostał wdali, słońce wzeszło wysoko, a myśmy wciąż szły i szły. Szczęśliwa gwiazdka świeciła nam stale. Wszędzie spotykałyśmy życzliwe serca i doznawałyśmy wiele przyjemności.

Tego dnia zrobiłyśmy dwadzieścia pięć kilometrów! Cóż to jednak znaczyło!? My w Tatrach chodziłyśmy więcej!

O zachodzie przybyłyśmy do dużej kościelnej wsi — Falkowa.

— Dokąd idziemy, na plebanję, czy do dworu?

— Gdzie bliżej.

Dwór widnieje na wzgórku w pięknym parku tuż przy szosie.

„Hultajska trójka” poprawia nadwyreżone drogą, fryzury i robi „inteligentne miny.” Wieś obca, nikogo nie znają — to ma swój urok.

— Steniu, spójrz, czy mam dosyć „inteligentną” fizjognomję — pyta Wacia, mrużąc odpowiednio oczy.

— A moja grzywka jak wygląda? —

Stenia, zajęta niesfornymi loczkami (również inteligentnymi), o to samo zapytuje.

— Która pierwsza mówi? — Żadna nie chce, wypycha jedna drugą i niezdecydowane dochodzą do białego, obrośniętego winem, dworku. Na ganku w szerokim, słomkowym kapelusiku, w jasnej sukience i pantofelkach siedziała młoda pani domu, haftując licą barwną papugę. Obok, na schodach leżała porzucona wielka lala i piłka w siatce.

Pani J. przyjęła nas b. życzliwie, ale z powodu zjazdu gości, zaofiarowała się przyjąć jedną pątniczkę, z biedą dwie — „ale braterstwo, mieszkający obok, z miłą chęcią przyjmą pozostałe panie.”

„Hultajska trójka” robi piękny dyg i rusza do braterstwa.

Tu przystojna, wysoka, o tatarskim wyglądzie pani, mile przyjmuje wszystkie trzy maturzystki i oddaje im gościnny pokój.

Śpiące, straciły ochotę do zwykłych żartów. Tym razem bez kołysanek Boli zasypiały w jasnym, polskim dworze.

Rano po Mszy św. kierują się w stronę Przedborza. Przed nimi widnieje ciemna ściana boru.

— Patrzcie, jakie ciemne chmury — woła, oglądając się, Wacia.

— Co tu robić? Biegnijmy do lasu!

Hen, na pustej drodze, wśród łąk i pól, biegną trzy pątniczki do lasu.

— Steniu, zgasła twoja gwiazda, deszcz za nami.

Ściemnia się, tumany kurzu kłębią się w powietrzu. Jaskrawy blask błyskawic oślepia oczy. Ciężki odgłos grzmotów zbliża się.

Spadła ulewa. Ale w lesie ciszej. Burza rozszalała się na dobre.

Naraz gwizd syreny. Z zatrzymanego auta wysiada elegancki pan i uprzejmym gestem zaprasza panienki do wnętrza. Pod budą czujemy się świetnie. Po chwili rozmowy auto rusza, wioząc rozśpiewane i wesole, choć trochę zmoczone, „grono pątniczek”, ufne w Opiekę Bożą nad sobą.

Wkrótce, znalazłszy się w Przedborzu i wysiadłszy z gracją z samochodu, idziemy do Pilicy rozkoszować się kąpielą. Po smacznym obiedzie, zjedzonym u przemiłego księdza dziekana na plebanji, jedziemy na dwudniowy odpoczynek do Granic, do dziadziusiów Boli.

O dolce farnientel! Nic nie robimy, śpimy, odpoczywamy, a urozmaicają nam czas przejażdżki konne na ślicznej wierzchówce i na bryczuszce małej z dziadziusem, zabierającym nas na modraki. W gościnnym staropolskim domu czujemy się, jak w raju. Wycieczka na sławną i piękną Chełmską górę, słynną z legend o śpiących w skalach rycerzach królowej Jadwigi i miejsca po prastarej gontynie pogańskiej pozostawiają nam ogromnie miłe wspomnienia. Wypoczęta, zaopatrzona na drogę, rusza cała hultajska trójka, żegnana serdecznie przez niezmiernie miły polski dworek. Teraz następuje najgorsza część podróży. Droga nieznana, piaszczysta, upał ogromny, plecaki ciężą nieźnośnie. Pić się strasznie chce, ale nawet mleko na wsi nie gasi pragnienia. Oczy sennie kleją się, spać się chce okrutnie. Prawdziwa pielgrzymka. Poprzedniego dnia przespaliśmy upał w lesie, a teraz nawet las daleko. Jedyne radosna świadomość, że z każdym krokiem zbliżamy się do upragnionego celu, dodaje nam ducha.

Opalone słońcem i wiatrem, zwalczając zmęczenie, zuchwale patrzymy przed siebie. Mijamy przeszkody — i, choć droga uciążliwa — młodość zwycięża wszystko...

A dobrzy ludzie wyrastają na drodze, jak grzyby po deszczu! W Kłomnicach... albo w Rędzinach...

— Pod dużą górą podchodzą dobrze już zasapane podróżniczki. Już nawet i humory potraciły. Ale, oto kościółek między starymi lipami, więc wступujemy na chwilę. I przy wyjściu, nieznany nam zupełnie ks. dziekan, zainteresowany niezwykłą pielgrzymką, zaprasza do altanki na podwieczorek i proponuje, by największy upał przespać.

— Pokój gościnny wolny — mogą panie doskonale wypocząć. — Nasza ufność i tym razem nie zawiodła nas.

A, gdy dziesiątego dnia wdali na horyzoncie zamajaczyły kontury wyniosłej wieży Jasnogórskiej, wzruszenie i radość wezbrały nam ogromną falą w piersiach i zamglily oczy. Była to dla strudzonych już pątniczek pamiętna chwila. Z Jasnej Góry spłynęła na nas ożywcza moc, wobec której bladło cale zmęczenie i trudy pieszej podróży. „I — jak powiedziała przy rozstaniu w Marjówce p. Rita, — gdyby ktoś uważnie obserwował napływające do cudownego miejsca tłumy, ujrzałby wśród nich wieczorem dn. 26 czerwca trzy utrudzone maturzystki, które, po przejściu stukilkudziesięciu kilometrów, z ogromną radością w sercu szły do Matki Niebieskiej, by Jej złożyć hołd i dziękczynienie za wszystko.”

Oddać piórem szczęście, jakie czuły nasze trzy dziewczęce dusze u stóp Marji — niepodobna! Rekolekcje dwudniowe, chwile spędzone w kaplicy, zaliczały się do najgłębszych i najjaśniejszych chwil spędzonych w Częstochowie. Czas odjazdu zbliżał się szybko. Ostatniego wieczora, parotysięczna kompanja z poznańskiego urządziła wspaniały pochód dokoła wałów klasztornych z płonącemi pochodniami i śpiewem. Miało się wrażenie, że to tłumy duchów idą do nieba.

Zwiedzanie prześlicznych stacyj Męki Pańskiej, skarbca, klasztoru, skupowanie pamiątek zakończyły pamiętny „pierwszy krok w życie.” Bola, Wacka i Stenia — dawna ze szkoły hultajska trójka, z wielkiem wzruszeniem opuszczała cudowne miejsce, dokąd dążyła wytrwale tyle dni.

Nad równomiernym stukotem wagonów popłynęła piosenka: — Uplywa szybko życie... razem nie będzie nas. Ze spokojnego, lecz smętnego, tonu czuć było u śpiewających ją osób wielki żal za tym upływającym, a najpiękniejszym okresem życia ludzkiego.

„Hultajska trójka.”



MODLITWA.

*O Matko nasza, o Panięko święta,
Ty, co panujesz w niebie w gwiazd koronie,
O, Ty, przed którą lud w pokorze kłęka,
Drżące ku Tobie wyciągając dłonie,
Usłysz modlitwę, co do niebios progu
Ulata w górę... hen... ku Panu Bogu.*

*Wspieraj nas, Matko, bo życia ta droga
Pod górę wiedzie, wśród cierni i krzyży.*

*Nie daj z tej zboczyć, co wiedzie do Boga,
Wiedź ścieżką, która do Niego nas zbliży.
Usłysz modlitwy o, Panienko święta,
Niepokalana, bez zmazy Poczęta!*

*Marjo, Królowo naszej polskiej ziemi,
Weź w Twą opiekę nasze łąki, pola,
Rośnij przemożną swą pieczę nad niemi,
Daj, aby prysła ciemnośń niewola,
Marjo, Twojej łaski tak bardzo nam trzeba —
O, wejrzyj na nas z swych wyżyn, tam z nieba.*

*Za wszystkie łaski, któreś nam zesała
Ze Swej dobroci, boś Matką kochaną,
Za wszystko dobro, któreś nam Ty dała,
Z sere Ci spleatamy koronę różaną.
Więc wejrzyj na nas o, Marjo, Pani
I przyjmij serca, które niesiem w dani.*



Wspomnienia z wakacyj 1928 r.

Poprzez poranną, mglistą zasłonę wyjrzało słońko i spadł na ziemię jesienny promyk słońca; powolutku, odsuwając cienie, wzniósł się do okien sypialni.

Obudziłam się... gdzieś pierzchnął sen i lekko sfrunęła myśl. Po świetlanej drodze podążyła ku wschodniej stronie Polski. Do duszy napłynęła cicho fala przeżyć, i wyrzuciła na brzeg przypomnienia żywe, obrazy minionych wakacyj.

* * *

Stacja kolejowa... wznoszące się kłęby dymu... pociąg... Już, już, do widzenia! Wskakuję do wagonu... odsuwam pośpiesznie okno, by raz jeszcze spojrzeć w twarze najdroższych osób. I... widzę: wzrok Matki pełen wyrzutu, bólu, cierpienia i niezgłębiony smutek w błękitnej toni oczu Ojca. Żegnajcie! rzucam parę pogodnych słów, uśmiecham się i... zapadam w kąt wagonu. Czuje, jak mi się ścisnęło serce; coś dławi za gardło. „Ha, darmo, kiej trzeba”... Zapal do pracy, chęć szczerego poznania kraju ojczystego i zdobycia nowych wiadomości wypchnęły mnie z domu. Lipcowy trzydziesto-stopniowy upał coraz dotkliwiej dawał się we znaki. Ciasnota w wagonie, znudzone twarze podróżnych i duszne powietrze, przesycone kurzem i dymem papierosów, wywołały we mnie jakiś przykry stan odrętwienia. Oh, oby prędzej dojechać, a tu jeszcze tyle... godzin. Mijam Lublin, Kowel... Nowe otwierają się krajobrazy,

ożywiam się, by pilniej zanotować je w pamięci. Jak okiem sięgnąć bezgraniczna rozpościera się dal, nużąca płaszczyna.

Wtem coto? „Sa-arr-ny!” — rozlega się ochrypły, przeciągły głos konduktora. Nareszcie jestem u kresu podróży. Co tu pocznę. Nad niczem nie zastanowiłam się, ach, żeby jeszcze godzina jazdy!... Obcy, nieznani ludzie; wszystko nowe... Jak mnie tam przyjmą? Poczułam się nagle czemś zaskoczona, lęk i obawa szarpnęły za serce, a jednocześnie zrozumiałam, że bez zwłoki trzeba wysiadać.

* * *

Spiekota nie do wytrzymania... Niemal prostopadle promienie słońca przypiekają głowę. Wóz, uderzając o korzenie drzew, wciąż skacze do góry, za mną unosi się tuman kurzu, a furman coraz bardziej nagli konie do biegu. Przejeżdżam przez piaszczysty, wydmyowy obszar; omijam las sosnowy, przerzedzony ludzką ręką, potem widzę smutny poleski krajobraz: moczary, poprzetykane kępami, na których samotne stoją młode brzoźki, a poprzez wysokie trawy i turzyce przezierną woda.

Dalej znów bór, ale coraz jaśniej zarysowują się drzewa na tle niebieskiem, wreszcie wolna przestrzeń.

Dawno już dawno, było tu jezioro polodowcowe, którego dno stanowią obszary torfowe, okolone piaszczystem, zalesionem wzniesieniem, które jest pozostałością wybrzeży.

Jeszcze przed sześciu laty, powiadają ludzie, był tu obszar nie do przebycia, stopa ludzka mogła jedynie grząść i zapadać się w dzikie bagna.

A dziś... Co czyni kultura? Kilka ofiarnych jednostek z poświęceniem porwało się do pracy nowej, by wykazać Ojczyźnie miłość synowską. Na poleskich błotach stanął Zakład Doświadczalny Uprawy Torfowisk, zawrzało, zaroilo się na dzikich łąkach. Pozostawiono tylko mały rezerwat, który jest pokazem dawniejszego wyglądu torfowisk. Lubiałam chodzić na spacer do rezerwatu, stojącego na ustroniu pod lasem. Tam wśród traw, szarej wierzby, karłowatej sosny i niskiej brzozy (*betula humilis*), właściwej tundrom, stawały w myśli obrazy pierwotnej, dzikiej przyrody, które bardzo wyraźnie odcinały się od uprawnych torfów. Patrząc na pola i wstydziłam się przed sobą, że nic dotąd nie wiedziałam o tej pracy. Więc tak mało interesowałam się społecznymi sprawami, iż nawet nie wiem, co się dzieje na terenach Polski?

A tam na Polesiu, pod Sarnami, wre praca. Osuszają meliorują, kopią kanały, zakładają poletka, a potem różnorodne przeprowadzają doświadczenia, które dają zadziwiające wyniki.

Lud patrzy z zachwytem i podziwem na „cudowną” torfową ziemię, która obfite daje plony: owsy przewyższają wzrost dorosłego mężczyzny, główka kapusty dochodzi do 35 funtów wagi. „Cuda, cuda” — mówią, kiwając głowami, Poleszucy.

Zakład Doświadczalny rozpada się na kilka Działów: Hodowli bydła, Gospodarczy Hodowli Traw, Meljoracyjny, Ochrony Roślin, właśnie w tym ostatnim ja pracowałam, jako praktykantka. Robota moja polegała na łapaniu owadów szkodników, rozpinaniu ich, oznaczaniu, wypychaniu gąsienic, turkuciów, hodowli liszek kokonów i na robieniu zielników z chorobami roślin.

Dorobek zakładowej pracy znalazł uznanie na wystawie Rolnej w Łucku (wrzesień 1928 r), gdzie został odznaczony złotym medalem.

* * *

Jak woda w potoku, tak upływały mi dnie pobytu na „poleskich błotach.” Równinny ten kraj i smętny ma jednak nęcący urok w sobie, a szczególnie ciekawe są typowe przyjemności. Oblawa na wilki!... Ah, jakaż jestem szczęśliwa, będę na obławie! Jedziemy... coraz inne cuda przyrody. Majestatyczny bór masztowych sosen, młode, dzikie gąszcze, a tu... czarujący las! To się nie da opisać. Potężne dęby, jakieś przedziwne w delikatnej swej szacie graby, wiotkie brzoźki, rozpięchłe leszczyny, to wszystko tak pięknie wygląda w harmonijnej zgodzie. Tu się zatrzymano; rozeszli się myśliwi na swe placówki i ja też stanęłam za drzewem. Cisza... skupienie... oczekiwanie... huknęły zdała głosy naganki, zbliżają się... już słychać dzikie, przejmujące wrzaski, nawoływania, gwizdanie, szczwania. Na mnie scierpła skóra. W tem bh-ul strzał! Jeszcze rozległa się burza krzyków i cisza... Zabity!... drapieźnik.

* * *

Noc. Gdzieś tam migocą słabym światelkiem gwiazdy. Ciemno, straszno, dwie nas stoi przy jednym strzelcu. Cicho, od czasu do czasu zaszeleszczą liście, to z szumem poderwie się ciężki gluszek i znów martwota. Już to wyczekiwanie mię męczy, a nie można ani się poruszyć, ani odezwać się. Upływają minuty, oglądam się, pilnie patrzę w czernią nocną, nic. Mija pół godziny! ach, nie już nie będzie. A takbym chciała ujrzeć błyszczące, straszne ślepie wilcze. A jeśli na mnie prosto wyjdzie, co będzie? Upłynęła godzina! Boże, coto? ciarki przechodzą, wstrzymałam oddech — to przeraźliwe rozlega się wycie, tuż, tuż w pobliżu. Idzie, on sam okropny... wilk. Czekam strzału. Kiedyż będzie? Nie zdąży? Strzał! Skomlenie i... znów cisza. Uciekł. Och, jak to dobrze!

Koniec.

WRAŻENIA Z NAD MORZA.

Słońce zachodziło ponad zatoką, przez korony sosen lśnił ciepły, złoty blask, przechodzący wyżej w lekko seledynowy ton. Cisza rozsiadła się tutaj na posiwiałych mchach i pierzastych paprociach. Tylko z góry płynął ku nam szum poważny, głęboki — Odwieczna, nigdy nie milknąca rozmowa.

wa lasu. Szłyśmy naszą leśną aleją daleko, daleko, aż do białej samotnej willi. Czasami aleja rozszerzała się, a wtedy wysokie, o czerwonych pniach sosny zostawały gdzieś, poza nami, a natomiast odsłaniały się ciche, wdzięczne polanki, zarosłe wrzosem. Były to cudne plamy liljowe o subtelnych różowych odcieniach na tle szarawej zieleni. W mchach czerwieniły się borówki, często mające pozór rozsypanych nieostrośnie koralików.

Kiedy słońce już nie było, a został tylko jakiś bladawy ton gasnącej zorzy, wróciłyśmy krótszą drogą na tor kolejowy i przeszłyśmy przez biały, sypki piach nad morze. Leżało przed nami niby wielkie uśpione dziecko — ogromnie ciche i spokojne. Fale łagodnie szeptały przy brzegu.

Tymczasem mrok spłynął przejrzystą, ciemną zasłoną, przez którą słabo poczęły przeświecać gwiazdy, a nad koronami sosen wychylił się blady księżyc. A morze — śniło. Zapewne o tych dniach minionych, kiedy w jego głębi królowała Jurata w bursztynowym pałacu, a w łodziach prostych starcy z ofiarami płynęli hen, na Rugję, do Światowida.

Wtem ostry świst zbudził nas z zadumy. To pociąg szedł z Warszawy na Hel i słyszałyśmy, zbliżający się pośpiesznie turkot. Trzeba było wracać. Przed nami gorzały krwawe ślepie i czarna masa z potwornym sapaniem sunęła coraz bliżej. Po chwili zamigotały przed oczyma oświetlone okna i już z daleka dolatywał monotonny stuk kół.

Czarny potwór, o krwawych ślepiach, zburzył twoje baśnie — O morze! zasklepił i opancerzył serca na twój przedziwny czar. —

— — — — —
W Jastarni gasły światła — zimny wiatr powiał od północy — W zagrodach poszczekiwały psy. A morze zbudziło się i lkało, szumiało, skarżyło się komuś, pewnie milczącemu, cichemu niebu.

V.

PESYMISTKA W SZKOLE.

Zajeżdżają auta i wozy przed gmach szkoły. Pełno gwaru! Pełno ruchu! Słychać głośnie rozmowy, wesole okrzyki i wybuchy szczerego młodzieńczego śmiechu. Koleżanki po długim, bo dwumiesięcznym niewiedzeniu, serdecznie się witają i urwanymi zdaniami starają się wypowiedzieć wrażenia, doznane w tym czasie. „Nowe” stoją miejscami, przysłuchując się tej gwarze zmieszanej, bezładnej, nawskroś uczniowskiej, gdzie słychać typowe słowa naszej rozmowy:

— Jak się bawiłaś?

— Morowo mówię ci. A ty?

— E, pytasz, kułam się całuskie wakacje.

— No toś wielki nieuk.

— Nie bój się, nie przerosłam cię — odcina się pierwsza.

— Jak widzę, kucie wcale ci dowcipu nie ujęło — zauważa druga i serdecznie całuje koleżankę.

— Zośka, Marylka, jak się macie — woła przebiegająca dziewczynka.

— A Jadzia, niechże cię uścisnę! Jak dobrze wyglądasz!

Zniknęły za drzwiami gmachu szkolnego, a na miejsce wyraźnych ich słów napłynął gorączkowy, nieujęty w zdania gwar, wznosząc się chwilami do krzyku, to znów przechodzący w szmer.

Na uboczu tej gwarnej, ruchliwej sceny stoi dziewczynka o bladej, pociągłej twarzy z zamglonymi oczyma, wpatrzonymi w dal, z ustami złożonymi w kwaśny grymas. Stoi zapatrzona tępo w jeden punkt. Na smutnej, jakby znudzonej jej twarzy, nie widać zainteresowania, nawet zaciekawienia, nic; zachowuje się tak, jakby sama znajdowała się na podwórku.

O kilka kroków od niej, roześmiana gromadka dziewcząt, zaznacza swoją obecność wesołymi okrzykami i głośną rozmową. Po każdym głośniejszym wybuchu śmiechu, dziewczynka zwraca swą głowę ruchem ociężałym i wzrok jej zatrzymuje się na świeżych, rozradowanych twarzyczkach koleżanek.

Co za sympatyczny obrazek! Jakieś niezrozumiałe ciepło i zadowolenie płynie od tych miłych, ożywionych dziewcząt.

Zadne jednak najserdeczniejsze uczucie nie zabawi twarzy patrzącej. Co ją obchodzi cudza radość, czyjś szczery, serdeczny śmiech, kiedy jej smutno i źle.

— Może one ze mnie się śmieją — myśli dziewczynka.

Nic dziwnego, takie myśli mogą przyjść do głowy — pesymistce.

Pesymizm jej jest ogromny. Jak stanie przed nią, to ona widzi tylko jego szare plecy i zdaje jej się, że cały świat jest tego jednostajnego koloru.

— — — — —
Pesymistka wchodzi do klasy, ale o krok wsunął się nieodłączny jej towarzysz — pesymizm. I znów widzi całą salę w barwach szarych. Łzy jej się cisną do oczu, że koleżanki, zajęte lekcjami, nie zwracają się do niej ze współczuciem, choć one zrobiła minę, jakby się najadła kwaśnych jabłek.

Siada do lekcji i na wiadomość o zadanej historii spleta dłonie z gestem rozpacz, opierając na nich czoło.

W takiej postawie przepędza kilkanaście minut w głębokim zamyśleniu, ale nie o historii, o nie, całkiem o czym innym — o marności i bezcelowości życia.

Mój Boże, ile to się myśli przesunie po głowie, a jedne głupsze od drugich.

Z krainy czarnych myśli budzi ją lekki uścisk ramienia i cichy, serdeczny głos: — Historji się uczysz, Haniu? Może ci trudno samej się przygotowywać? Może się razem nauczymy?

Na chwilę pesymizm usunął się i jego zwolenniczka widzi twarz koleżanki w całym blasku serdeczności.

— Dobrze, uczmy się.

Koleżanka czyta, lekko szeleszczą przewracane kartki. Wspólnie opowiadają. Już umieją. Koleżanka odchodzi, a tu jeszcze algebra. Ach, jakie smutne to życie! Albo ta algebra, poto chyba istnieje, aby ją udreńczyć. Na dworze tak ponuro, błoto, deszcz pada. A tak się ma do B... — Czemu to niema zawsze wiosny, albo chociaż lata? Potrzebne są te błota! Te i tym podobne myśli przesuwają się po biednej główce, schylonej nad bruljonem matematycznym.

— Nie umiesz jeszcze lekcji? A, algebra — dodaje Helenka, zajrzawszy do zeszytu.

— Może czego nie rozumiesz, może ci wytłumaczyć?

I znowu płyną objaśnienia, dawane półgłosem, aby nie przeszkadzać uczącym się koleżankom. Hela, przeprowadzając dowód algebraiczny, wtrąci od czasu do czasu wesoły żarcik, serdeczne słówko i nasza pesymistka czuje, że jej jakoś jaśniej, lepiej. Poproszona przez koleżankę idzie z nią na kolację.

Minęło sporo czasu i nasza pesymistka pewnego dnia otwiera usta — do śpiewu. Pesymizm, widząc to, myśli brać nogi za pas i wędrować za góry, za lasy, tymczasem słyszy śpiew:

— Wdał uleciały sny złote.
I bólem serce me drży,
Beznadziejny mój smutek, tęsknotę
Kto zrozumie i ukoj ły? —

Pesymizm, słysząc te słowa, pozostaje na stanowisku; na razie przynajmniej jest panem położenia. Ale niedługo będzie twoja radość, biedny pesymizmie, bo oto jedna z koleżanek bierze twoją podwładną na salę i stara się wciągnąć ją do zabawy. Po chwili słychać muzykę, tańce, śpiew i całe gamy śmiechu, do których swój ton dołączyła nasza pesymistka.

Do widzenia, ci wrogu radości! Już ona teraz nasza, już nie do niej nie masz, myśmy ją walką od ciebie wydarły. Nasze młode nadzieje, nasza wesołość i zadowolenie z życia pokonały cię! Idź sobie gdzie dalej, bo nas już nie opanujesz. Na odchodnym przyjm też przestrozę: miej się na baczności, bo wkrótce pójdziemy w świat; drogi nasze mogą się jeszcze spotkać. Strzeż się, bo wtedy porażka twoja pewna!

Idzie więc biedny pesymizm, niechętnie i powoli schodzi ze schodów, na które w tej chwili wbiega niedawna jego wyznawczyni smutna i zblazowana, obecnie pełna werwy i radości życiowej, śpiewając:

— Niema to, jak my... —

Pod wpływem serdecznego ciepła koleżeńkiego, w tym zespole młodych marzeń, górnołotnych ideałów, wzniosłych celów, owianych radością, właściwą naszemu wiekowi, owa pesymistka zmieniła się. Dziś, wspominając niedaleką przeszłość, nie może uwierzyć sobie samej — to sen chyba. To niemożliwe, żeby ona widziała same ciemne strony życia. Może ona była przez pewien czas nawiedzona ślepotą? — Może. Teraz, gdzie się obróci, widzi piękno, dobro i radość. Dokoła niej tyle cudów przyrody!

Piękne jest życie! Czarowny świat!

„Sypialnia Północna”.

Sypialnie uczennic noszą w Marjówce różne nazwy, między innymi znajduje się i sypialnia mniejsza IV kursu, zwana „Północną.” Nazwano ją tak dlatego, że przez okna jej, w pogodne wieczory, zagląda gwiazda polarna. Ponieważ w niej częściej jest chłodno, niż ciepło, przeto korpulentne jej mieszkanki zagrzewają się, jak mogą, mając przytem i inny cel — schudnięcie (na uwadze.)

Co wieczór więc, po pacierzu, zaczyna się sport, noszący miano „Trząsania nóg.” Lecz udział w nim biorą tylko te dziewczynki, które zapisały się do tajnego związku, uprawiającego lekkoatletykę. Dowództwo zaś nad nim objęła założycielka związku, najkorpulentniejsza czwartokursistka.

Otóż, jak się przedstawiają ćwiczenia wieczorowe w godzinach ciszy (tak się nazywa czas przed i po pacierzu). W wąskim, lecz dosyć długim przejściu między łózkami, ustawiają się według wzrostu najbardziej „okazałe” mieszkanki „sypialni Północnej” i na komendę założycielki związku zaczynają wszystkie ćwiczyć. Ćwiczenia te są tak wymyślne, że, patrząc na nie, nasuwa się podejrzenie, iż ich dozorczyńi ma specjalną,

dziką satysfakcję w torturowaniu tych biednych miłośniczek „wiotkich postaci”.

Najtrudniej im utrzymać równowagę na jednej nodze. Biedaczki chwieją się, jak z zgrzybiałe starowinki; chcąc pomóc sobie, zaczynają śpiewać, co już wywołuje oburzenie u innych, statecznie spoczywających w łózkach, dziewczynek. Surowa uwaga którejś odważniejszej chwilowo skutkuje, ale wnet o tem zapominają i nucą znów, ale już naprawdę głośno.

Wtem któraś wpadnie do sypialni i krzyknie: „Cicho, bo pani Dyrektorka już idzie, jest na schodach”. Spłoszone, jak sarenki czmychają do swych łóżek i z minami niewinnymi poczynają się rozbierać. Nagle daje się słyszeć głos „Ale mi się udało, wcale pani Dyrektorka nie idzie, tylko chciałam was nieco uciszyć”. Po tej uwadze niezmordowanie i ze zdwojoną energią nasze sportsmenki ćwiczą dalej.

Po chwili jednak założycielka mówi, że na dziś piętnaście minut ćwiczeń wystarczy. Posłuszne dziewczynki przerywają pracę i, z rumieńcami na twarzy od zmęczenia, zapytują swej mistrzyni, czy aby schudną i jak prędko. Przecież nie w tej chwili, odpowiada im nieco urażona, poczekajcie i ćwiczcie wytrwale do Bożego Narodzenia, to rezultat pewny. Tak długo, jęknęła któraś boleśnie. A czyż to odrazu Kraków zbudowali — pada filozoficzne zdanie. Strapione tem nieco, kładą się do łóżek w milczeniu, tylko od czasu do czasu śmielsza z dziewczynek rzuci pojedyncze słówko.

„Wiecie, chwilami mam wrażenie, że już schudłam” — zaczyna któraś ku pocieszeniu wszystkich — szczególnie nogi to już mi naprawdę zeszczuplały. Zdanie takie zwykle jest przyjęte gamą śmiechu.

Ale już cicho, cicho, upomina Lidka, śpiąca w końcu sypialni, czas już spać!

A to śpij, kiedy ci się tak bardzo chce, bo my to jeszcze zajmiemy się lekturą. Po uwadze: „Zaczynamy czytać,” wszystko milknie i w ci-szy wieczornej rozlega się głos Zosi, recytującej zdania z książki.

Niedługo jednak światło zaczyna mrugać, co oznacza prędkie zgaszenie. Składamy wszystkie robótki, śląc przytem głębokie westchnienie w nieznaną dal. Światło gaśnie... Cisza rozciąga swe skrzydła nad łózkami „butnych istotek.” Potrochu zasypia „Północna sypialnia”, ukołyszana własnymi myślami i szumem jesiennego wiatru.

„Duża.”



Przed klasówką.

W skupieniu ducha zjadamy śniadanie wszystkie przygnębione zmorą zbliżającej się algebry. Dziś mniej niż zwykle nęci zapachem i kolorem pyszna kawa, mniej smacznym zda się chleb świeży — ach, bo ta algebra... I ta możliwość klasówki, to jednak straszne! Wogóle cała matematyka jest ogromnie zbędnym wynalazkiem! Czasem myślę sobie, że pierwszy człowiek, który zajął się matematyką, miał widocznie bardzo wiele czasu i nie wiedział jak go zużytkować... no, ale wracam do tematu, bom gotowa burę dostać od naszej p. Matematyczki, że plotę „brednie”, (choć ja jestem przekonana, że mówię rzeczy całkiem mądre) —

Otóż... ta algebra!

— Jeżeli dziś nie wymyślę czego, by zwać z algebry, to nie mogę — dowodzi któraś z pod ściany. — Jestem przekonana, że na pierwszej lekcji zrobi mi się niedobrze, — prorokuje Jaśka. Mnie już głowa boli, a ciebie Maryśka? — Daj mi spokój, sama nie wiem, co mię boli, chyba klasówka algebraiczna — brzmi gniewna odpowiedź. —

Oj, tak to, tak — wzdycha Jadzia — że ta algebra psuje mi krew, to święta prawda.

— Że też człowiek w spokoju śniadania nie zje — odzywa się Irka — bo wciąż tylko algebra, z algebrą, przy algebrze, dajcie już raz spokój, będzie klasówka to będzie, nie to nie i koniec. —

Ogólne oburzenie.

— „Mądraś, wiesz, że zrobisz, to się i martwić nie potrzebujesz, ale my, to co innego!”

Tak, — podchwytuje któraś — dobrze, że ty, ale ja? —

Albo ja! — No, a ja to cóż? Nie zapominajcie tam o mnie!

Dobrze, dobrze — słysząc którąś, biorącą rzeczy z punktu rozumowego — ale dlaczego to jeszcze nie szła p. J. ze swego pokoju. Specjalnie uważałam; wszystkie panie już poszły oprócz p. J., wiecie, co mi na myśl przyszło? — Otóż...

Stacha przerywa, bo jest zdenerwowana — Chcesz coś mądrego powiedzieć, a tymczasem powód opóźnienia się p. Janiny jest bardzo jasny, poprostu układa nasze zeszyty, bo klasówka pewna. —

Gwałtowne dudnienie po schodach, potem ruch przy drzwiach, wreszcie gromki okrzyk: „— Wiwat, dziewczynki, p. J. chora! — Zamieszanie, gwar, pytania, odpowiedzi, wszystko jednocześnie. Zwiastunka pomyślniej nowiny ledwie przeciska się do naszego stołu. Twarz jej promienieje (to jedna z tych, które woląby nie słyszeć o matematyce), — „Klasówki nie będzie, p. J. chora, jest przeziębiona i ma, zdaje się, bańki stawiane, może jutro nie wstanie —” E, jutro ma wolny dzień, to wszystko jedno, leży czy nie, ale dziś, dziś, no nie mówiłam, że nie będzie klasówki?... — dumne spojrzenie i poza — godne najwaleczniejszego rycerza.

Co, co mówisz, to naprawdę nie będzie klasówki? — woła Maryla powątpiewająco — a na zapewnienie, że naprawdę nie — opada na ławkę z radosnym westchnieniem — szkoda... Bogu dzięki. —

— No i jak się to cudownie zrobiło — my nie mamy klasówki, a p. J. wypocznie. Nie jest przecież ciężko chora, a taki wypoczynek to dobrze robi. —

Bezwzględnie, być nauczycielką matematyki, to ciężka praca — decyduje Hala. —

Dźwigać notes z czwórkami i... dwójkami, to chyba jeszcze cięższa, — dodaje już wesół Stacha.

Z drugiej strony stołu słysząc głośnie uściski, to Maryśka w przystępie radości ściska Irkę, wybacząc jej teraz uprzednią obojętność, dotyczącą klasówki.

„Świat jest dziś dla mnie przepiękny” — wiwat niech żyje panna J. — Niech żyje! podnosi chórem cała jadalnia.

Gdzieś tam upadła filiżanka, rozsypując się w kawałki.

— To nic — woła właścicielka — niema klasówki to grunt, filiżanka w porównaniu, to głupstwo.

My p. J. wszystkie bardzo, bardzo lubimy, zresztą to pani dobrze wie, ale jeżeli ma nam dać klasówkę algebraiczną lub geometryczną i po-

tem męczyć się nad poprawianiem naszych, nielogicznie poukładanych, równań, toć przecież lepiej, z serca życzymy, aby pani w tym czasie wypoczywała.

Aknelo.



PRZY SIATKÓWCE.

Uwaga! Serwuj! W tej samej chwili kilkanaście par rąk podnosi się do góry, aby silnie, a umiejętnie odbić lecącą piłkę. Ale... niestety! Serwująca dostała tremy (nie wiadomo z jakiej przyczyny), a piłka przez indukcję zlekka się i upadła... przed siatką. Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi tych, z pośród których nieszczęsna tak niefortunnie zaserwowała. „Poprawię się” — mówi zawstydzona winowajczyni. I oto przy drugim serwie piłka przeszła ponad siatką. Partja odetchnęła! W sercach ich zapaliła się iskra nadziei, że „jeszcze mogą wygrać” nie zważając jednak na to, że mają aż „0”, gdy strona przeciwna liczy już 10 punktów. Lecz gra trwa do końca, piłka przechodzi z rąk do rąk. Czasem jakieś długie „rączki” machną w powietrzu i nie odbiją piłki, lecz bardzo „delikatnie” trzepną którą z koleżanek, a nawet obrywa się i naszym paniom, które chętnie i z wielkim entuzjazmem oddają się temu miłemu sportowi, jakim jest nasza siatkówka. A ileż to razy wpadnie jedna na drugą, nadeprnie na odcisk, lub czyjeś zbyt ostro zakończone paznokcie o mało nie utoną w oczach tej, która podleciała, by podbić „nie swoją” piłkę. Ale dzielne i wytrwałe „niewiasty” znoszą cierpliwie wszelkie razy, aby tylko wygrać partję, a jeżeli się przegra, to patrzy się z uśmiechem, bo... aby przegrać, też trzeba pewnej odwagi na którą nie każdego stać!

A co „milego” krzyku przytem co uwag, wybuchów radości lub grozy! Wygrywa się, aż miło, bo... albo „net”, albo „aut”, a nawet zdarza się (bardzo często), że czyjeś łapki są widocznie za krótkie, bo sięgają na drugą stronę siatki (co jest niedozwolone) i wtedy z miną wiecie odważna, ścinają, albo dają tak zw. „szczupaka”. Śmiech powstaje, bo ta, której się udało tak świetnie ściąć, mówi: „ale dałam szczupaka, nol” Jednak, pomimo temu zdziwieniu, zręcznej i umiejętnej w tym kierunku, dziewczynki. Zwykle przy samej siatce staje jakiś „filar,” bo temu łatwiej wbić piłkę... przez siatkę! Ale i te filary obrywają niekiedy, mimo, że trudno dostać im do głowy. „Ach! mój nosek, całkiem mi go zdefasonujecie” krzyczy któraś, trzymając się oburącz za „nosek” iście wspaniały i klasyczny w kształcie ogórka lub innego pomidora.

Chwilami jednak robi się „nawet” cicho przy siatkówce, ale wtedy, gdy jedna z partyj wygrywa „15” na „0”. Strona z „0” jest zbyt przygnębiona, aby silić się na dowcipy, a „15” jest za delikatna, aby swój triumf okazać. Potem, partje zmieniają się i znów się „bębni” w piłkę. Dziewczynek przybywa coraz więcej, bo każda chce „machnąć” po kolacji partyjkę, aby broni Boże nie utyć, bo wtedy... byłaby rozpacz! Plac siatkówki zapelnia się szczelnie; gdy piłka leci, las rąk wysuwa się na jej spotkanie. Zapał udziela się nawet dziewczynom siedzącym obok i one śledzą rzuty piłki i wraz z grającymi przeżywają chwile radości i smutku. I nie wiadomo, dokąd trwałaby gra, gdyby nie dzwonek, który przypomina o tem, że czas

udać się na spoczynek i piłce dać również wytchnienie! Odchodzimy więc od piłki, ale w duchu rodzi się postanowienie, że „jutro sobie machnę kilka partyj!!

Nakra.

W KOPALNI.

(z wycieczki śląskiej).

Znikło światło dzienne. Mrok dokoła. Jakiś ustawiczny szum, zgrzyt, huk i świst wypełnia ciasne i duszne lochy podziemne. Od czasu do czasu wdali — błysnie światło kagańca i mignie czarna sylwetka górnika..

I znów to samo...

Śluszna nazwa tej kopalni — „Mars”. (Mars — bóg wojny). Bo wre tu walka, walka człowieka z naturą, prawa z prawami, siły z siłą. Świdry zgrzytają zaciekle pod ręką ujarzmiiciela — skała jęczy. — Huk wystrzałów dynamitowych i lecących odłamów porywa echo podziemne i niesie w ciemne, dalekie korytarze, wypełnia je, wreszcie gdzieś przepada, ginie...

Wózki ładowne pędzą jedne za drugimi, jak szalone, wydając jakiś świst przeciągły, demoniczny. Powietrze w rurach, płynące z powierzchni dla odświeżenia lochów i pokrzepienia górnika, dudni, szumi, wydaje mruk groźny, przenikliwy. A tam znów woda pluszcze, spada ze skał, pieni się, bulgoce i niknie w szczelinie, jak gardzieli smoczej.

Myśli się rozpraszają, płaczą... Jakto? Tu, w takich warunkach, wprost nie do uwierzenia, ma pracować człowiek, ten pan świata, ten ujarzmiiciel?...

Tu, gdzie śmierć wygląda z każdego zakątka, gdzie wyciąga chciwą rękę, wysysa krew, wypija rumieńce i siły?...

Idziemy dalej zgięte w pałąk. Krzyż boli, sam się bezwiednie prostuje, lecz głowa uderza o twardy strop, opada jeszcze szybciej niż się podniosła, z ust wychodzi jakaś cicha skarga. w oczach ukazują się gwiazdy — lecz idziemy stale naprzód, niema czasu na spoczynek. Oj, jak to ciężko!

Tak, to my, co jesteśmy dopiero godzinę w podziemiach na jakie 200 m. w dół, a już nam pot zalewa oczy i nogi odmawiają posłuszeństwa.

Pomyśleć — że tu ma się spędzić całe życie... Brrr... Dreszcz wstrząsa ciałem. Niel za nic! Uciekać, nie patrzeć na tę nędzę ludzką!

Woda kapie na głowy, błoto bulgoce pod nogami, odzież przesiąka wilgocią — A ty, człowiecze — pracuj!

Boże, chce się czasem zawołać, czemu stworzyłeś tego człowieka? Czy poto, aby tu konał powoli i męczył się? by nie znał ciepła i światła słonecznego, aby nie cieszył się tem pięknem i czarem, które nam dałeś przecież? O, Boże! Tu, w tych lochach podziemnych, czarne, znędzniałe ciała górników wyciągają do ciebie błagalnie ręce — wysłuchaj ich!

I przyszła mi na myśl nasza praca — w murach na ławach szkolnych. Jakże wydały mi się śmiesznymi te wszystkie kwękania, obawy i troski... Niel tego porównać nie można z pracą i trudami górnika! O, niel

I myśli się rwały, zamęt powstał jakiś nieopisany w duszy, a ta potężna, straszna nuta kopalni brzmiała bez końca... Jakaż to kara? Nie, to — poświęcenie, to podkład potęgi i zwycięstw.

Lecz czemu on taki krwawy i znojny?

Tak być musi — odpowiada jakiś głos, — inaczej nie byłoby tylu wynalazków, odkryć i świetności.

To chociaż niech wynagrodzenie mają odpowiednie! — Wynagrodzenie otrzymają, lecz nie na tej ziemi...

Z jakąż niewypowiedzianą radością witałam, na drugi dzień, majaczące na horyzoncie, góry.

Ach, jak tu dobrze, jak lekko, rozkosznie!... Chciałoby się pozostać i patrzeć, patrzeć... na te cuda przyrody — bez końca.

Tu, zdaje się, jasność wszędzie panuje,
 Tu serce rośnie i wciąż wzwyż szybuje,
 Tu niema przekleństw, ni fałszu, ni trudu,
 Tu tak nie płaczą czarne masy ludu.
 Co się tam dzieje, czy każdy rozumie,
 Czy każdy z nas trudy odczuć ich umie?
 Ileż tam ludzi umiera przedwcześnie,
 Nie mogąc spojrzeć na życie radośnie.
 O, straszny kontrast, wielka odmiana...
 Po szarej ziemi jest rozesłana...

Fela.



JESIEŃ.

Niebo zawisło nad ziemią, niby opończa barwy popiołu...

W szarzyźnie dnia ciągły, monotonny plusk deszczu...

Gdzie podziałas ozdoby, szara ziemio? Gdzie są łąki, strojne w bujną zieleni, gdzie pola, pokryte zbożem, gdzie kwiaty, gdzie radość i wesele lata?

Nad polami, nad sadem огоłoconym z liści, unosi się smutek i niebo nad nimi płacze. Kędyś, na horyzoncie, ledwie widny los znaczy się siwą linią... Świat zamiera...

Szaruga późnej jesieni smętkiem i tęsknotą oplata dusze ludzkie, ściska je przeczuciem nieszczęścia mrok powleka świat... Ciężkie krople deszczu wydzwaniają swój jednostajny rytm o szyby, a poszum wichru przejmuje dziwną melancholją.

Wiatr targa gałęzie drzew, jęczy i wyje...

Oczy wpatrują się w ciemność wieczoru, biegną wdal i widzą, zda się, minione złote dni szczęścia...

A deszcz, bijący w szyby, szepce: „nie wróć, nie wróć, nie wróć”.

Sercem targa rozpacz, głowa chyli się na splecione dłonie, a dusza skarży się i płacze do wtóru wichrowi i kroplom dżdżu, ciągłym, jednostajnym, niezmiennym...

O, życie! życie! życie!

WSPOMNIENIE

Szemerzą fale, płynące gdzieś cichutko,
Łódka zaś moja pruje wstęgę fal, —
Płynie bez szmeru leciutko, leciutko
W promienną, przecudną dal...

Nie chce się mówić, by nie zmącić ciszy,
Co koi duszę, wlewa w serce czar...
A rzeka szumem fal swych cichych dyszy,
Słońce złocisty śle żar.

I tak cichutko tu, cudnie, radośnie...
W sercu coś szepee... jedną z cudnych baj,
Coś śpiewa w duszy, o tej pięknej wiosnie,
Płynącej wonnie przez gaj.

A łódka płynie... tam w górze, tam wdali,
Ptaszęta Boże lecą w słońcu hen...
Tutaj zaś, słyszę cichutki szum fali,
Cichutki, cudny — jak sen.

Po brzegach lasy i wysokie góry,
Kwiaty na łąkach, strumyk — istny czar,
Wieże kościołów sięgają pod chmury,
Tam znów chatynka, gdzie jar...

Nie mogę śpiewać, bo w gardle coś dusi.
Najmniejszy hałas boli, jak sto ran,
I tylko cicho wypływa mi z duszy:
Tyś wielki Stwórca, Tyś Pan!

I szemerzą fale i płyną cichutko.
Łódka zaś moja pruje wstęgę fal —
Płynie bez szmeru, leciutko, leciutko
W promienną, przecudną dal!...

Kaer.

KRONIKA.

20 czerwca 1928 r. o godz. 24 wyruszyliśmy z Marjówki na wycieczkę, której celem było zwiedzenie Górnego Śląska i źródeł Wisły. Po podróży pociągiem znaleźliśmy się w Dąbrowie — Górniczej, skąd częściowo autem, częściowo brekiem dojechaliśmy do Kopalni węgla „Mars”. Głęboka kopalnia wywarła na nas ogromne wrażenie. Drugim miejscem, zwiedzaniem przez naszą wycieczkę, były Katowice, mianowicie gmach Sejmu śląskiego w stylu neogotyckim. Przewodnik oprowadzał nas po salach, zasługujących na uwagę, dając szczegółowe objaśnienia, w których przebiegał się głęboki patriotyzm.

Prócz tego byliśmy w teatrze Wielkim na operze „Żydówka”.

W nocy z 21 na 22 czerwca przybyliśmy do Huty — Królewskiej. Nazwa miasta pochodzi od słynnej huty żelaznej — zwanej Królewską. Hute tę zwiedziliśmy. Byliśmy również w parku, tu na szczególną uwagę zasługuje pomnik hr. Redena, który położył wielkie zasługi na polu górnictwa. (Na jego cześć największe pokłady węgla nazwano Redenowskimi).

Z huty Królewskiej udaliśmy się do huty cynkowej w Lipinach, następnie do chorzowskiej fabryki sztucznych nawozów azotowych.

23 czerwca przyjechaliśmy do Żywca. Zwiedziliśmy tamtejsze gimnazjum, zamek i park arcyksięcia austriackiego.

24 czerwca z Milówki udaliśmy się pieszo do źródeł Wisły; po drodze zanocewaliśmy w Kameszniczy. Na Baraniej Górze zabawiliśmy się do 26, a stamtąd wróciliśmy do domów, unosząc ze sobą wiele niezatartych wrażeń.

Dnia 3-go września mieszkanki Marjówki powróciły, by rozpocząć pracę całoroczną. Świadczy o tym gwar, bieganie po schodach i kosze... wszędzie kosze... Rozpakowywanie wlece się długo, bo co chwila nowa partja zajeżdża; rozlegają się okrzyki... powitania...

4 września. Dzisiejszy dzień zaczyna nowy rok szkolny. Rano udaliśmy się na Mszę św. Pod wpływem słów księdza Kanonika prysnęły dążenia do przedłużenia wakacyj i weszliśmy na drogę pracowitszą, niż beczynne dni wakacyjne.

Przy błyskach jarzących świec, ślałyśmy modły do Stwórcy, by dopomógł nam korzystnie czas przepędzić i wspierał w nauce.

7 września czwarty kurs wyjechał na 10-dniową wycieczkę w Tatry. Zazdrościliśmy im ogromnie, że zwiedza te cudne, polskie góry i doznają tyle wrażeń nowych...

10 września. Ponieważ pogoda dopisywała, więc zorganizowano spacer do lasu

na całe niedzielne popołudnie, aby odechnąć świeżym powietrzem, nasycić się krasą jesieni, nazbierać jeżyn i grzybów.

Humory były wyśmienite... (wolno było włożyć letnie, jasne sukienki) gromadka rozśpiewana, rozbawiona, rozbiegła się po lesie i pracownicy wyszukiwała jeżyn, barwiąc palce i usta na odpowiedni kolor. A wówczas na polankę zajechała... niespodzianka w postaci prowiantów, mających stanowić podwieczorek dla nas...

Naturalnie przyjęliśmy to wybuchami radości... Z zakątków leśnych wysuwać się zaczęły wieszczki, ubrane w paprocie i widłaki i możnaby się ludzi, że to jakieś legendarne istoty, gdyby nie zbytnia skwapliwość, z jaką odbierały swoje ogromne porcje.

Po sutym, bo urozmaicanym różnemi sposobami, podwieczorku, rozległy się śpiewy, uformowały pary do mazura, przeplatane kaskadami śmiechu.

Na ile wysmukłych sosen i liljowych wrzosów wzbierała wesołość, ożywiły się twarze, zapanowała radość.

17 września. Odbyło się dziś pierwsze zebranie Koła Samokształcenia „Jedność”. Ksiądz Kanonik w słowie wstępnym wyjaśnił nam cel tej organizacji, podkreślił jej owocność i zachęcił do pracy nad sobą. Następnie przystąpiono do wyboru zarządu i omówiono sprawy bieżące.

1 października. Dzisiaj pierwsze nabożeństwo różańcowe... Od tego dnia codzień będziemy zdążyły do kościoła, by zaczerpnąć otuchy do pracy i schylić głowę w czasie nabożeństwa do Matki Najświętszej...

3 października. Przypadająca na ten dzień uroczystość św. Tereni uczciliśmy przez pójście na Mszę św. do kaplicy. Ponieważ do św. Tereni żyjemy szczególne nabożeństwo, więc wiele dziewczynek przystąpiło do Komunii św. Akademię ku Jej czci odłożono na niedzielę.

7 października. Staraniem Sodalicii i grupy Towarzystwo-sportowej odbyła się akademja ku czci św. Tereni, na którą złożył się następujący program:

- 1) Śpiew chórally „Przychodzisz do nas”...
 - 2) Deklamacja „Do św. Tereni” kol. Hanka Rymarczykówna (własny utwór).
 - 3) Referat, obejmujący życie i cnoty św. Tereni, wypowiedziała kol. Halina Gołaszewska.
 - 4) Melodeklamacja „Pieśń moja na dzień dzisiejszy” kol. Niuśka Olechowska.
- Na zakończenie wypadł obrazek sceniczny p. t. „Jeszcze trochę róż”...

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagieńska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjowce.